

Rodzina

19. III. 1961

Nr 12(37) • ROK II

WARSZAWA

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł -





EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ MĘKI PAŃSKIEJ

ONEGO czasu: Mówił Jezus rzeszom żydowskim: Kto z was do-wiedzie mi grzechu? Jeśli wam prawdę mówię, czemu mi nie wierzy-cie? Kto z Boga jest, słów Bożych słucha; wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście. Odpowiedzieli tedy Żydzi i rzekli Mu: Czyż nie słusznie mówimy, że jesteś Samary-taninem i czarta masz? Odpowiedział Jezus: Ja czarta nie mam, ale oddaję cześć Ojcu memu, a wyście mnie znie-ważyli. Ja nie szukam własnej chwa-ły, ale jest ktoś, który szuka i sądzi. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli kto zachowa naukę moją, nie zazna śmierci na wieki. Tedy Mu rzekli Żydzi: Teraz poznaliśmy, że czarta masz. Abraham umarł i pro-rocy, a ty mówisz: Jeśli by kto zachował naukę moją, nie zazna śmierci na wieki. Czyżes ty większy od ojca naszego Abrahama, który umarł? Na-wet prorocy pomarli. Za kogo się u-ważasz? Odpowiedział Jezus: Jeśli ja sam siebie chwale, chwala moja ni-czym jest. Ale jest Ojciec mój, który mnie uwielbia i o którym wy powia-dacie, że jest Bogiem waszym, a nie poznaliście Go. Ale ja Go znam i je-śli bym powiedział, że Go nie znam, byłbym podobnym wam kłamcą. Ale znam Go i nauki Jego strzegę. Abra-ham, ojciec wasz, z radością wygląda dnia mojego, a ujrzał i uradował się. Rzekli tedy Żydzi do Niego: Pięćdzie-sięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś? Rzekł im Jezus: Za-prawdę, zaprawdę powiadam wam, pierwej nim Abraham był, jak jest. Porwali tedy kamienie, by rzucić na Niego, a Jezus ukrył się i wyszedł ze świątyni. (Św. Jan 8, 46—59).

Wyjątek ewangelii św. Jana na piątą nie-dzielę W. Postu przedstawia fragment zatargu Jezusa Chrystusa z faryzeuszami na tle mesjańskiego posłannictwa Chry-stusa. W pewnym momencie Pan Jezus o-świadcza, że starszyzna żydowska zmierza wy-raźnie do pozbawienia Go życia, ponieważ na-zwał Boga swoim ojcem (J. 5, 18, 36).

Ewangelista od siebie wtrąca, że Żydzi na tyle byli zaślepieni, że nie zrozumieli nauki, jaką im podał Jezus o swym Boskim pocho-dzeniu i Swym Ojcu. Na tym tle staje się zrozumiałe prorocтво Chrystusa o męce i o śmierci na krzyżu.

Dopiero przez krzyż pociągnie On wielu ku sobie. Wymowa krzyża będzie większa od ka-zań i nauk, jakie się wygłasza.

Do tych, którzy już teraz poszli za Jezusem, mówi on:

„Pozna-cie prawdę, ta was wy-bawi z niewoli grzechu”. Żydzi przygnębieni zależnością od Rzymu przypuszczali, że Jezus mówi o niewoli poli-tycznej. Jarzmo rzymskie, choć było dla nich ciężkie, to jednak jeszcze nie stanowiło praw-dziwej niewoli. Oburzyli się więc na Chrystu-sa za to, że nazwał ich niewolnikami i szorstko odpowiadają: „jesteśmy potomkami Abra-hama”; chlubią się swym pochodzeniem od Abrahama. „niegdyś nikomu nie służyli” — kłamią, bo przez długi czas byli w niewoli egipskiej, babilońskiej i assyryjskiej — a za czasów Chrystusa popadli w zależność od Rzy-mu.

Chrystus miał jednak na myśli nie niewolę polityczną, ale moralną, wyjaśnia więc, że każ-dy kto grzeszy, jest zależnym od grzechu i jest poniekąd niewolnikiem.

Niewolnik, sługa całkowicie zależał od swe-go pana, a nawet był uważany za rzecz nada-jącą się do sprzedaży i nie miał żadnych praw. Ludzie zaś wolni posiadali majątki, mieli pew-ne przywileje i mogli drogą łaski uszczęśliwić i uposażyć swoich niewolników. Jezus z tego prawa wyciąga wniosek. Człowiek grzeszny jest niewolnikiem grzechu i do dziedzictwa niebiańskiego dbać się nie może. Syn Boży, który jest właściwym panem chwały Bożej, zstąpił na świat, aby ludzi uwolnić z jarzma grzechu i wprowadzić do nieba.

Chrystus przyznaje Żydom, że są potomka-mi Abrahama. Zaznacza jednak, że wielce róż-nią się od swego praojca. Abraham uwierzył w obietnice Boże, a oni choć widzą cuda Je-zusa to jednak nie chcą Go uznać za mesja-sza. I nie tylko nie chcą iść za Nim, ale co gorsza, myślą o pozbawieniu Go życia.

Chrystus nie zaprzecza, że co do ciała po-chodzą Jego ziomkowie od Abrahama; jedynie zarzuca, że nie idą jego śladami, postępują bo-wiem źle. Żydzi zaczynają rozumieć, że Chry-stus mówi o duchowym ich pochodzeniu; to-też zaraz odpowiadają, że nie są poganami, ale prawowitymi Żydami. Według pojęć i temino-logii żydowskiej, która znalazła swe echo na-wet w Piśmie św. (Wyj. 3,4 16; Sędz. 2,17; 8,33; Jer. 2,20) stosunek Boga do Izraela jest przed-stawiony, jako małżeństwo. Prawowierni Ży-dzi pochodzą więc duchowo z tego małżeń-stwa; natomiast niewierni są duchowo jakby dziećmi spoza małżeństwa.

Dowodem tego, że Żydzi nie są duchowymi synami Boga, jest okoliczność, że Jezus, który jest Synem naturalnym Boga Ojca i któ-rego Bóg wysłał na świat, nie chcą słuchać i nauki Jego nie przyjmują, a przyczyna tego leży w pysze i marzeniach o chwale i pano-waniu doczesnym.

Żydzi ulegali szatanowi — duchowi sprze-ciwiu — i tak dalece w kłamstwie i innych grzechach zabrnęli, że Jezusa, który tylko prawdę mówił, słuchać nie chcieli. Grzechu mu nie dowiedli, bo prawdę mówił i prawdą się kierował w całym swym postępowaniu. Nie

przeszkodziło to im bynajmniej na sformuło-wanie krzywdzącego zarzutu: „teraz pozna-liśmy, że czarta masz”, starali się bowiem w oczach ludu oczernić Chrystusa. Nawiązują więc do wyrażenia Jego, iż „ś m i e r c i n i e z a z n a n a w i e k i” i oświadcza-ją, że na pewno Jezus jest w spółce z szatanem. Jako dowód podają tę okoliczność, że Abra-ham i prorocy pomarli, tymczasem Jezus swo-im zwolennikom obiecuje życie wieczne.

Pytają Jezusa — czy uważa siebie za wyż-szego od Abrahama i Proroków. Na to Chry-stus: gdybym ja sam jako człowiek dawał świadectwo o sobie, moglibyście go nie przy-jąć, ale „j e s t O j c i e c m ó j, k t ó r y m n i e u w i e l b i a”, a cuda — które mocą Bożą czynię powinny wam wystarczyć jako dowody prawdziwości mego posłannictwa od Ojca, którego wy uważacie za swego Boga. Lecz wy „nie poznaliście GO”, ale ja go znam, „jako współistotny z Nim co do natury Boskiej, oglądam Boga twarzą w twarz, nie tyl-ko znam Boga Ojca, ale i wypełniam Jego roz-kazy.

Abraham, ojciec wasz ziemski, gdy jeszcze żył na świecie dowiedział się, z Objawienia Bożego, o przyjściu mesjasza, dlatego cieszył się niezmiernie i pragnął być uczestnikiem chwały Jego. Teraz zaś, gdy przyszedłem na świat, dowiedział się o tym i będąc w otchła-ni ucieszył się, iż wkrótce nastąpi wybawie-nie rodzaju ludzkiego od zła, które idzie za nim od rajskich bram.

Starszyzna żydowska i faryzeusze znali do-skonale prawdziwość przepowiedni biblijnych, ale ponieważ starali się wszelkimi sposobami Jezusa ośmieszyć, więc i teraz zarzucają Mu, że jeszcze 50 lat nie ma, a twierdzi, że Abra-ham Go widział.

Jak Bóg Ojciec, tak i Syn Jego na określe-nie Swego przedwiecznego i wiekuistego ist-nienia używa słowa: „J a m j e s t” (Wyj. 3,14), bo byt Jego nie ma początku, ani końca, ale jest wieczną i ciągłą terażniejszością. Wspaniałe, pełne siły zestawienie bytu stwo-rzonego i nie stworzonego: „A b r a h a m p o w s t a ł, s t a ł s i ę — J a m j e s t”. Jest to tak jasne i nie ulegające wątpliwości stwierdzenie ze strony Jezusa Jego Bożej isto-ty, że Żydom nie pozostało nic innego jak paść na kolana i oddać Mu pokłon, albo zasta-niając się literą prawa (Kapł. 24,16) pochwy-cić kamienie i bluźnierstwo ukarać śmiercią. Niestety, Żydzi w swej pysze i naiwności wy-brali to drugie: porwali kamienie, które prawdopodobnie w skutek restauracji świątyni znajdowały się na dziedzińcu. W ten sposób powtórzył się, po raz niewiedomo już który, bolesny paradoks: człowiek tęskni za Bogiem, szuka Go, lecz kiedy Bóg stanie przed czło-wiekiem i twierdzi: tó ja — wówczas czło-wiek przeczy temu: to nie prawda. Scena Ja-nowej perykopy powtarza się i w naszych cza-sach.

Ks. dr A. NAUMCZYK

NASZA OKŁADKA

P. P. RUBENS — „OTO CZŁOWIEK”

O CZESC SW. JOZEFA



„Strażnik Pana swego uwielbiony będzie“ (Przyp. 27, 18). Takim wiernym strażnikiem Pana i Boga był na ziemi św. Józef. Jemu więc należy jest od nas chrześcijan hołd szacunku i miłości. Hołd ten polegać powinien na czci, wyznawaniu i naśladowaniu go.

Powinniśmy czcić św. Józefa, ponieważ Bóg go czcił. Bóg Ojciec powierzył mu swego jedyne Syna. Syn mu się powierzył i był mu posłuszny. Duch św. oddał jemu w opiekę swą Oblubienicę. Również Maryja go czciła, jako swego małżonka i opiekuna.

Kościół od najdawniejszych czasów wskazywał na św. Józefa jako na wzór sprawiedliwości i czystości. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy go czcić obchodząc jego święto. W dniu 19 marca, a nawet poświęcać mu każdą środę tygodnia?

Powinniśmy także wzywać opieki św. Józefa. Potrzebujemy przyjaciół, których wstawienictwo u Boga dopomogłoby nam do otrzymania koniecznych nam łask. Po Maryi nie możemy znaleźć żadnego bardziej możnego, bardziej nam oddanego opiekuna, niż święty Józef. Niektórzy święci są nam pomocą w pewnych poszczególnych potrzebach, św. Józef zaś ma moc bronić, podtrzymywać za ojcowskim uczuciem tych — którzy uciekają się do niego w każdej potrzebie i w każdej sprawie. Wielu ludzi nabożnych wyznaje, że o co tylko kiedykolwiek prosili za pośrednictwem św. Józefa zawsze to otrzymali.

Jakże wielki musi być wpływ na Serce Jezusa i Maryi. Czy może on prosić o łaskę, o którą by razem z nim nie prosiła Maryja? A czyż Józefowi i Maryi mógłby odmówić Jezus? Wzywajmy go więc rano, wieczorem, na modlitwie, przy pracy, w życiu i przy śmierci. Święci uciekali się do św. Józefa szczególnie w niektórych potrzebach. Wzywali go przede wszystkim w potrzebach doczesnych.

Wzywali go, by otrzymać powołanie kapłańskie i wytrwać w nim. Za jego wsta-

wiennictwem puste klasztory napełniały się zakonnikami.

Wzywali św. Józefa, by otrzymał łaskę życia wewnętrznego, życia z wiary, którego był on tak doskonałym wzorem.

Wreszcie wzywali go, aby otrzymać łaskę dobrej śmierci. Piszący te słowa widział na łożu śmierci kobietę jeszcze młodą, a małkę już dość licznej rodziny. Przyjęła ona ostatnie sakramenty święte z pełną świadomością; wiedziała, że nie ma dla niej już żadnej nadziei. Dokoła jej łóżka płakały zgromadzone dzieci i mąż. Pocieszała swą rodzinę słowami pełnymi akcentów heroicznej wiary. Zapytaliśmy ją o sekret tej radości w obliczu zbliżającej się śmierci. „Ach, powiedziała, od 25 lat prosiłam św. Józefa o łaskę dobrej śmierci, ufam, że mi ją wyprosił!“

Powinniśmy naśladować św. Józefa. Św. Józef był sprawiedliwy, posiadał więc wszystkie cnoty i był doskonałym wzorem wszystkich cnót; cnoty te winniśmy praktykować. Jeżeli jednak chcemy z jego życia wybrać kilka szczególnych przykładów, to przyjrzyjmy się, w jaki sposób przedstawia się często tego wielkiego świętego.

a) Przedstawia się go nieraz z lilią w ręku, symbolem jego czystości, która sprawiła, że został przez Boga wybrany na Oblubienca najczystszej z dziewic i na ojca — karmiciela Syna Bożego. „Kto kocha czystość serca... będzie miał Króla przyjacielem.“ (Przyp. 22, 11) „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą“ (Mt. 5, 8).

b) Przedstawia się św. Józefa trzymającego w ręku narzędzie pracy. Św. Józef był rzemieślnikiem i właśnie przez to ukochanie pracy zachował i przyozdobił czystość swego serca. Bezczytność jest matką wszystkich występków. Człowiek urodził się na to, żeby pracować, tak jak ptak na to — żeby latać. Niech ci którzy pracują, nie szemrzą, bo tylko tak pracując jak św. Józef uczciwie i rzetelnie — mają zyskać zbawienne owoce pracy.

c) Przedstawia się go wreszcie trzymającego na rękach dziecię Jezus. Na tym tronie — na rękach św. Józefa, żył Jezus czystszy niż biel skrzydeł Cherubinów, a Józef znajdował w tym zjednoczeniu z Jezusem męstwo do pracy z zapalem, w tym myśli. by nakarmić boskie Dziecię. I my w zjednoczeniu z Bogiem zachowamy czystość i będziemy czerpać siłę do uświęcenia naszych prac i wszystkich naszych trudów. Łączmy się więc z Chrystusem przez modlitwę i Komunię św. Szczęśliwe te rodziny, szczęśliwi kapłani i wierni, których wzorem jest św. Józef; szczęśliwi ci, którzy będą czcić tego wielkiego świętego, wzywać go i naśladować. Zapłatą dla nich będzie czyste życie — święta śmierć i szczęśliwość wieczna.

KARDYNAŁ - SPELLMAN CONTRA PREZYDENT USA

Kiedy John Kennedy kandydował na stanowisko prezydenta USA — wyrażano pogląd, iż jego przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego stanowić będzie poważną przeszkodę, utrudniającą mu wejście do Białego Domu. Praktycznie na skutek porozumienia między obydwoma kandydatami doszło do całkowitego wyeliminowania z kampanii wyborczej momentu przynależności religijnej kandydatów, ubiegających się o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Trzeba pamiętać, że w USA — ilość rzymskokatolickich obywateli przekracza 30 milionów. Stanowi to zaledwie 15% ogółu mieszkańców. Pozostałe 85% są to protestanci i członkowie różnych Kościołów i najróżniejszych sekt religijnych. W Stanach Zjednoczonych istnieje rozdział Kościoła od państwa. Rozdział ten prowadzi do daleko idącej tolerancji religijnej. Wszystkie Kościoły korzystają z tych samych uprawnień formalnych. Działalność swoją muszą opierać na własnym aparacie organizacyjno-religijnym i na własnych środkach materialnych. Wyrazem tego jest istnienie różnych religijnych instytucji charytatywnych, przemysłowych, szkół, i wyższych uczelni.

Amerykańska hierarchia kościelna rzymskokatolicka z faktu objęcia stanowiska prezydenta przez katolika Kennedy'ego chciała wyciągnąć bezpośrednie korzyści materialne.

Kennedy jeszcze przed objęciem urzędu zlecił swym ekspertom opracowanie planu rozbudowy szkolnictwa i oświaty powszechnej w USA. Odpowiedni dokument przedłożony kongresowi zalecał wydatkowanie na ten cel w ciągu najbliższych 4-ch lat 9 miliardów 300 milionów dolarów. Kennedy przedkładając Kongresowi ten dokument oświadczył, że „pomoc rządu należy ograniczyć do szkół państwowych“.

Ledwo tylko projekt ten został zgłoszony, natychmiast wielkie larum podniósł rzymskokatolicki amerykański kardynał Spellman, który domaga się finansowania prywatnych szkół katolickich. W gwałtownej formie Spellman zaatakował Kennedy'ego

zarzucając mu, że „chce w drodze szantażu ekonomicznego zmusić rodziców do posyłania dzieci do szkół państwowych“, w których opłaty zresztą są znacznie niższe niż w szkołach prywatnych, ale za to nie ma w tych szkołach nauki religii, która uczana jest w szkołach parafialnych i szkołach utrzymywanych przez różne religijne instytucje. Stanowisku prezydenta nie można odmówić słuszności, z uwagi na ogromne zróżnicowanie religijne społeczeństwa amerykańskiego, wśród których obok rzymskokatolików są protestanci i członkowie różnych wolnych Kościołów, etc.

Kennedy, jak dotąd, twardo stoi na stanowisku neutralności szkolnictwa amerykańskiego. Ale Spellman nie ustępuje. Pewny siebie, dumny kardynał zaczął szukać sojuszników. Zwrócił się o poparcie do amerykańskich kół luteranckich, z zamiarem wciągnięcia ich do akcji przeciw stanowisku prezydenta USA, łudząc mirażem milionów dolarów, które w wypadku powodzenia można by przekazać z kas rządowych na cele religijne szkolnictwa.

Ale wpływoy przedstawił kół luteranckich prof. Oswald Hoffman oświadczył Spellmanowi:

„My, luteranie, jesteśmy raczej zwolennikami stanowiska, jakie zajmuje w tej sprawie prezydent Kennedy. Nie podzielimy poglądu kardynała Spellmana. Jako Amerykanie wierzymy w zasadę rozdziału między państwem a Kościołem i nie uznajemy za dyskryminację, jeśli szkoły przez nas prowadzone nie otrzymają funduszy ze źródeł publicznych... Są to próby naruszenia tradycyjnego rozdziału między państwem a Kościołem, próby, które zagrażają swobodom zagwarantowanym konstytucyjnie“.

Na progu swego urzędowania Kennedy spotkał się z manewrem ze strony Spellmana, który łudził się, że prezydent Stanów Zjednoczonych skwapliwie podporządkuje się jego żądaniu. Na razie Spellman przegrał.

Ostatnie chwile życia spędził Jezus w gronie uczniów. Wiedział o tym, że zbliża się dramat i uczniowie Jego czuli, iż coś niezwykłego przyniesie im najbliższa przyszłość. Zachowanie się Mistrza napelniło ich smutkiem. Inaczej Jezus przemawiał dzisiaj aniżeli zazwyczaj. Smutek głęboki ogarnął uczestników Ostatniej Wieczery.

Na samym początku to przykre zajęcie z Judaszem. Któż by się był spodziewał? A następnie ten dziwny dla nich nakaz: „To czyńcie na moją pamiątkę!“. Czy słowa te nie nosiły charakteru testamentu? Dawniej Jezus nie zwracał się do nich w ten sposób. Już nieraz spożywali z Nim baranka wielkanocnego, nieraz łamał chleb i rozdawał uczniom swoim, nieraz pil z nimi z jednego kielicha... Wreszcie, gdy, jak to

nadzieje się rozwiały, gdy gasły jedno za drugim światła jego marzeń o wielkości i sławie u boku potężnego króla Izraela! Ujrzał teraz gorzkie poniżenie Jezusa! Tego, na kim budował wszystkie swoje nadzieje...

Na dworze najwyższego kapłana przysły wszelkie złudzenia Piotra i innych uczniów. Jeżeli do tej pory wciąż jeszcze spodziewali się, że spełnią się marzenia całego narodu, jeżeli wciąż jeszcze spoglądali na Mistrza, jako na tego, który w dosłownym tego słowa znaczeniu miał przywrócić chwałę Izraelowi, jeżeli widzieli w Nim dziedzica tronu królewskiego — straszna rzeczywistość doszczętnie zburzyła ich śmiałe oczekiwania. Jezus w ręku wrogów! Jezus bezsilny wobec nieprzyjaciół! Chrystus wzgardzony i sponiewierany, kroczący



„NIE JAKO JA CHCĘ, ALE JAKO TY CHCESZ, OJCZE”

KS. TADEUSZ MAJEWSKI

zwyczaj starodawny nakazywał, zaśpiewali pieśń dziękczynną, odetchnęli z ulgą. Może minie ten smutek, gdy opuszczą miejsce, w którym się zgromadzili?

Weszli na Górę Oliwną, gdzie Jezus zwykł w samotności zatapiać się w żarliwej modlitwie. Chłodny powiew nocy owionął ich rozpalone czoła. Raźnie kroczyli naprzód, lecz nie opuszczały ich myśli pełne trwogi. Welaż jeszcze pozostawali pod wrażeniem tego, co przeżyli podczas tej ostatniej wieczery.

Nie ochłonęli jeszcze, gdy Mistrz zwrócił się do nich i powiedział: „Wy wszyscy zgorszycie się ze Mnie tej nocy!“ (Mat. 26, 31). Słowa te wyrwały uczniów z zadumy. Były dla nich wprost niezrozumiałe. Jakże, więc nie dość, że jeden Judasz znalazł się w ich gronie? Oni wszyscy mieliby zwątpić? Piotr, który wyróżniał się wśród uczniów gorącym temperamentem, zapewnił: „Choćby się wszyscy zaparli Ciebie, ja się nigdy nie zaprę!“ Szczere przywiązanie do Mistrza podyktowało mu to wyznanie. Lecz czy starczy mu sił, gdy wypadnie słowa w czyn wprowadzić?

Czy Pan Jezus w koronie cierniowej oplwany i wyszydzony, opuszczony przez wszystkich, nie będzie zgorszeniem dla tego, który — podobnie jak naród cały — w głębi duszy spodziewał się ujrzeć Go w złotej koronie i z berłem królewskim na tronie Dawidowym? Czy nie on sam pragnął odwieść Chrystusa od drogi cierpień i boleści mówiąc: „Zmiłuj się sam nad Sobą! Nie przyjdzie to na Ciebie!“

Tejże samej nocy Piotr zgorszył się z Mistrza swego, gdy wszystkie jego wspaniałe

ku śmierci haniebnej stał się dla nich zgorszeniem!

„Wy wszyscy zgorszycie się ze mnie!“ Te słowa Chrystusa dotyczą każdego z nas. Póki słońce szczęścia i powodzenia nas o-promienia, i my z Piotrem, ufnym w swą siłę, gotowiśmy zawołać: „Choćby się wszyscy zgorszyli, ja się nigdy nie zgorszę!“ Lecz niechaj tylko noc nadejdzie, noc troski i nieszczęść, a wnet nie pojmujemy Jezusa i pytamy się: „Tyś jest ten, który ma przyjść?... A myśmy myśleli!“ Sprzeczność pomiędzy myślami naszymi a rzeczywistością, pomiędzy tym cośmy sobie uroili, a tym co życie przyniosło, wtrąca nas w ciemność, a wraz z ciemnością w zgorszenie.

Głosimy wzniosłe słowa o błogosławieństwie cierpienia, za przykładem Chrystusa widzimy w nim przejawy miłości Bożej; z apostołem Pawłem gotowiśmy zawołać: „Nic nie może odłączyć nas od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie!“ Słowem, ani na myśl nam nie przychodzi, by drogi Bożej Opatrzności mogły być dla nas zgorszeniem. Wszystko bowiem tak pięknie ułożyliśmy sobie. Lecz niechaj tylko przyjdzie godzina doświadczenia, niechaj słońce powodzenia naszego bodaj na chwilę skryje się za chmurami, a wnet poczynamy chwiać się w naszej wierze, wnet tracimy ufność, narzekamy i skarżymy się, nie dostrzegamy prawicy Chrystusa, która nas tędy właśnie prowadzi.

W drodze na Górę Oliwną rzekł Jezus do uczniów Swoich, że stanie się dla nich zgorszeniem. Ciężkie bowiem zbliżały się dlań chwile. Zaledwie kilka godzin jeszcze miał przebywać wśród swoich, aby potem

zawisnąć na krzyżu. Niebawem szcęk oręża miał zakłócić spokój Oliwnej Góry. Już się zbliżała zbrojna gromada, wysłana przez najwyższych kapłanów. Lecz nie to trwożyło Zbawiciela. Wprawdzie smucił się i wyznawał: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci!“, wprawdzie ciemność i Jego zaczęła otaczać, lecz wiedział skąd płynie światło. Opuścił więc uczniów — bo cóż by oni pomoc mogli — i w gorącej modlitwie szukał pokrzepienia.

„Nie jako Ja chcę, ale jako Ty chcesz!“ — Oto treść modlitwy Chrystusowej, modlitwy arcykapłańskiej, modlitwy jedynej, która jest wyrazem bezwzględnej ufności do Boga. Modlitwa ta wzmacnia w cierpieniu, daje moc poddania się woli Bożej, wskazuje cel: odkupienie i zbawienie ludzkości. Przez mękę i śmierć rozjaśnić ciemność dusz ludzkich. Więc nawet z krzyża mógł zawołać: „Ojcze, w ręce Twoje polecam ducha Mego!“

BUDUJEMY SZKOŁY TYSIĄCLECIA

J.E. Ks. Biskup Ordynariusz
Kościoła Polskokatolickiego w
PRL Dr Maksymilian Rode —
przeznaczył w imieniu Kurii
Biskupiej 10 tysięcy złotych na
budowę Szkół Tysiąclecia. Kwo-
ta ta została wpłacona na konto
Komitetu Budowy.

O WYCHOWANIU - PRAKTYCZNIE



KATOLICKI tygodnik „Rodzina“ nie należy do tak zwanych „artykułów“ pierwszej potrzeby, choć wielu jest ludzi, dla których to czasopismo stanowi nieodzowną „strawę“ duchową.

Taką strawą odżywczą dla rodziców będzie bez wątpienia poruszony na łamach pisma problem wychowania dzieci.

W świetle nowych zjawisk społecznych, politycznych, ekonomicznych i kulturalnych, jakie zaszły i zachodzą w świetle współczesnym, zagadnienie przygotowania dzieci i młodzieży do życia musi nas żywo obchodzić. Jest rzeczą niewątpliwą, że w każdej rodzinie ojciec i matka są bardzo zainteresowani dobrą, szczęśliwą i pomyślną przyszłością swych dzieci.

Od czegoż zależy dobrobyt, powodzenie, szczęście i pomyślność rodziny? Właśnie od dobrego wychowania i odpowiedniego pokierowania dziećmi.

Rozwój dziecka dokonuje się głównie w procesie jego działania. Głównym zajęciem dziecka, aż do wieku szkolnego, jest zabawa. Jest ona dla dziecka nie tylko przyjemnym spędzeniem czasu, ale jednym z głównych warunków prawidłowego rozwoju dziecka, jest, że się tak wyraża, nauką życia. Zabawy umożliwiają kształtowanie pożytecznych nawyków, przyzwyczajają i wartościowych cech charakteru. Bardzo ważną jest zabawa dziecka w grupie rówieśników, jako pierwszy krok do społecznienia. Od drugiego do siódmego roku życia zabawa stanowi najpotężniejszy środek wychowania i rozwoju dziecka. Zauważyć możemy, że dzieci w tym okresie życia garną się do innych dzieci. Powinniśmy się starać, by dzieci w różnym wieku miały towarzystwo. Od dzieci starszych od siebie uczą się one bawić, uczą się wielu czynności, wzbogacają zasób słów, wiadomości itp. Zabawa swobodna z innymi dziećmi wyrabia w dzieciach samodzielność. Dziecko, które się bawi dobrze i swobodnie w towarzystwie dziecięcym, zawsze ma dobre samopoczucie i wyróżnia na pełnowartościowego człowieka. Ale nie wtrącajmy się do zabaw gromady dziecięcej, niech dziecko samo uczy się borykać z trudnościami i przeszkodami; dzieci same ułożą sobie stosunki z towarzyszami zabaw.

Co potrzebne jest dziecku do dobrego zdrowia i pełnego rozwoju fizycznego? 1) Przede wszystkim racjonalne i regularne żywienie. Rodzaj pożywienia i jego ilość musi być zadowalająca, prawidłowa. 2) Odpowiednia ilość snu: a) dzieci od jednego roku do dwóch lat życia, powinny spać trzyście godzin w nocy i dwie godziny w dzień; b) dzieci od lat dwóch do czterech winny spać dwanaście go-

dzin w nocy i jedną lub dwie godziny w dzień; c) dzieci od czwartego do szóstego roku winny spać dwanaście godzin w nocy i ewentualnie jedną godzinę po obiedzie. 3) Trzeci czynnik zdrowia dziecka to słońce. Słońce bowiem pomaga do prawidłowego wzrostu. Pod wpływem promieni słonecznych w skórze ludzkiej wytwarza się witamina D – przeciw krzywicy. Słońce jednak musi być dawkiowane stopniowo, niemal jak lekarstwo. Dopiero gdy cała skóra jest już opalona i brązowa, można pozwalać dziecku na dłuższe kąpiele słoneczne w białym, ochraniającym główkę kapelusiku lub zapeczce. 4) Czwarty czynnik – to świeże powietrze, tak w ciągu dnia, jak i w nocy podczas snu. 5) Piąty czynnik – to dobra, pogodna atmosfera w domu, która ma nieoceniony wprost wpływ na całą psychikę dziecka i późniejszego dorosłego człowieka. 6) Szósty czynnik – to zachowywanie w domu i na dworze. 7) Wygodna odzież. 8) Ósmy czynnik – to czystość i związana z tym ogólna higiena.

W pracy wychowawczej trzy cechy są decydujące:

1) dyscyplina wewnętrzna. 2) miłość do dzieci, 3) konsekwencja. Te trzy cechy rodziców mogą sprawić, że ich dzieci będą dobrze wychowane.

1) Na czym polega dyscyplina wewnętrzna? Na zdolności kontrolowania i opanowywania swoich ruchów, odruchu gniewu, humoru itp. Gdy na przykład wzbiera w nas „piekielna“ złość, potrafimy opanować się i zachować spokój. 2) Miłość do dzieci i umiejętność mądrego jej okazywania ma wpływ ogromny na dobre wychowanie dziecka. Każde dziecko musi wiedzieć i słyszeć, że rodzice bardzo je kochają. Dziecko, które nigdy nie słyszało pieszczotliwych słów, jest pokrzywdzone, ma to wpływ na rozwój psychiki dziecka. Ciepło domu rodzinnego potrzebne jest dziecku jak roślinie słońce. 3) Konsekwencja zaś, to zgodność w myślach i czynach wyznaczanych zasad z poprzednimi czynami i myślami.

Dzieci od najmłodszych lat naśladowają we wszystkim rodziców i najbliższe otoczenie. Dziecko jest doskonałym obserwatorem i orientuje się w dobrych i złych stronach dorosłych. Jeżeli narzucamy dziecku nasze codzienne kłamstwa, naszą niesolidność, podwójną moralność, nie dziwimy się, gdy dziecko niesłychanie szybko przyswaja sobie te wady, bo mały człowieczek wybiera raczej złe niż dobre. Dlaczego? To zupełnie proste: złe jest przeważnie przyjemniejsze, łatwiejsze, a dobro zwykle wymaga znacznego wysiłku.

Tajemnicą dobrego wychowania, zasadą postępowania jest wzgląd na innych. Rodzimy się matymi egoistami,

sządymy, że jesteśmy najważniejsi. Mądre wychowanie uczy nas od dzieciństwa uspołecznienia. np. oddawania zabawek dzieciom, które ich nie mają; dzielenie się smakołykami itp. Umiejętność wychowania polega między innymi przede wszystkim na tym, by zwalczać egoizm, a przyzwyczajając do liczenia się z innymi. Zyczliwość dla ludzi, wzgląd na otoczenie, uprzejmość, opanowanie siebie stają się naszą drugą naturą, nienaganne formy życia – naszymi nawykami, tak mocno zakorzenionymi, że omal nie umiemy żyć inaczej.

W stosunkach między ludźmi zaczyna decydować rozsądek i umiar. Przy stole przyzwyczajając należy dziecko do poprawnego zachowania się, do mówienia: „proszę“ i „dziękuję“. Do dobrych manier przy jedzeniu należy: poprawne siedzenie, podczas posiłków nie kłócenie się, nie rozmawianie z pełnymi ustami, nie sięganie przez stół itp. Oprócz wpajania form zewnętrznych (np. przywitania, ukłonu) przyuczamy dzieci do wypełnienia pewnych obowiązków. Dzieci zwykle biorą je na siebie bardzo chętnie, bo to wzbudza w nich poczucie przydatności i „ważności“.

Dzieci należy przyzwyczajając do liczenia się z innymi. Niech dzieci nie halasują, bo nikt tego nie lubi, niech szanują roślinność, nie deptają trawników, bo inni dbają o zieleń aby się nią cieszyć. Niech dzieci nie niszczą cudzej, wspólnej czy jakiegokolwiek własności, bo wyrządzają tym szkody, krzywdy lub przykrości innym.

Najważniejszym warunkiem prawidłowego wychowania dziecka jest normalne, pogodne, ciepłe życie rodziny. Dzieci potrzebują dobrej, spokojnej, życzliwej atmosfery życia rodzinnego. Jeżeli zaś małżeństwo draży rozkład, panują w domu niesnaski, gniewy, kłótnie, przekleństwa, bójkę itp. – to taka atmosfera rodzinna wywiera zły wpływ na wychowanie dziecka. Należy więc swoje namiętności opanować, przezwyciężyć się dyscypliną wewnętrzną i okazywać pogodną, życzliwą atmosferę. Wtedy rodzina będzie szczęśliwa, dzieci będą miały należytą opiekę i dobry kierunek wychowawczy. Pamiętajmy, że dobre obyczaje wyniesione przez dzieci z domu rodzinnego

stanowią cenny posag, którym rodzice winni obdarzać swe dzieci.

W stosunku do dzieci rodzice winni być taktowni, nie powinni na przykład zawstydzają malca przed obcymi; on też ma głębokie poczucie godności, a naruszenie jej może być powodem utraty zaufania do rodziców, którzy przez długie lata powinni być dla dzieci swych wszystkich: opoką, przystanią, miłością, autorytetem.

Nie od rzeczy będzie zwrócić tu uwagę na to, jaki pogląd w sprawie wychowania wypowiedział Andrzej Frycz-Modrzewski. Poglądy jego wychowawcze są tak nowoczesne, że aż nie chce się wierzyć, że napisane zostały kilkadziesiąt lat temu. Modrzewski był wybitnym pisarzem polskim okresu Odrodzenia (wiek XVI). Jakież więc według poglądu Modrzewskiego powinno być wychowanie dzieci? W duszy ludzkiej nic mocniej nie tkwi niż to, do czego przyzwyczaili się od dzieciństwa. Jeśli się dzieciom zaszczepi coś szkodliwego, gdy jeszcze małe i uległe, tak w nich to na zawsze zostanie, jak gdybyś trucizną przepoił szczyponkę, która potem rozrośnie się w wielkie drzewo, owoce tego drzewa będą trujące dla spożywającego i przekazują trujące właściwości nasionom, w niczym od nich nie lepszym. Niechże tedy rodzice mają w pamięci przy wychowaniu swego potomstwa postać Chrystusa, który zganiwszy uczniów, że nie chcieli do Niego dopuścić dzieci, tak rzekł: „dopuszczcie dzieciom przyjść do mnie, albowiem ich jest królestwo Boże“ (Marek X, 14; Łukasz, XVIII, 16). Czy z tych słów nie wynika jasno, jak Bóg troszczy się bardzo o dzieci? Do ich prostoty przyzywa wszystkich, którzy by chcieli wnieść do królestwa niebieskiego.

Niechże tedy troszczą się o to rodzice, aby swym dzieciom wszczepiali także nauki i tak je wychowywali, by one zaczęły pojmować od lat najmłodszych, co jest uczciwe, a co haniebne, do czego dążyć, a czego unikać. Niech rodzice baczą tedy, by chłopcy i dziewczęta nie spędzali swych lat na próżniactwie; niech się starają dawać im zawsze jakąś pracę, a także niech żądają od nich zdawania sprawy z tej pracy.





Góra Czterdziestodniowego Postu

O J C Z Y Z N A CHRYSZTUSA PANA

KIEDY zwiedza się miejsce usświęcone, jednym z tych tajemniczych wydarzeń, które zmieniły oblicze świata, doświadczamy czegoś podobnego, czego doznaje podróżny, który płynie z trudem w górę wielkiej rzeki, np. Nilu lub Gangesu, aby znaleźć jej początek i przypatrzeć się jej przy źródle ukrytym i nieznanym.

I ja także sądziłem wdzierając się na ostatnie wzgórza, które mnie dzieliły od Nazaretu, że szedłem do tajemniczego źródła, by zastanawiać się nad tą religią rozległą i płodną, która od dwóch tysięcy lat wypłynęła na ziemię ze szczytu gór Galilei i napoiła tyle plemion ludzkich swoją czystą i ożywioną wodą“ – tak pisał LAMARTINE w jednym ze swych wspomnień po zwiedzeniu Palestyny.

Palestyna... – „Ziemia filistyńska“, kraj historyczny i przez chrześcijaństwo, mozaizm i islam, „Ziemią Świętą“ nazwamy, ojczyzna mono-teizmu i ojczyzna Chrystusa Pana.

Kraina jest to dziwna, bo pełna kontrastów. Tutaj na wiosnę każda piędź ziemi, każda dolina i każdy pagórek nad wodą czystą czy na suchym miejscu, jednakowo pokrywa się przebogatą roślinnością. Niczego tu nie brak. Powietrze drga upajającą wonią, pola świecą wszystkimi barwami – prawdziwy raj kwiatów. Ale z nadejściem czasu posuchy i słońca letniego – wszystko zamiera, traci barwę, schnie i nabiera ostrości, kaleząc bosc nogi przechodnia. Urok życia tkwi o miedzę ze śmiercią.

Tak, wygląda przyroda Ziemi Świętej. Podobnie przedstawia się pod względem duchowym. Przecież to kraj wybrany przez Boga, ojczyzna proroków, z których prawie każdy, nie wyłączając Syna Bożego, zginął śmiercią męczeńską zamordowany przez swych rodaków.

Ale mimo tych „kolców duchowych“ wyrosły na tej ziemi precudne kwiaty serc ludzkich. Po tej ziemi chodził przecież Pan Jezus i Matka Jego – Maryja. Tu wyrosli Apostołowie, Uczniowie Pańscy, pustelnicy i święci myśliciele.

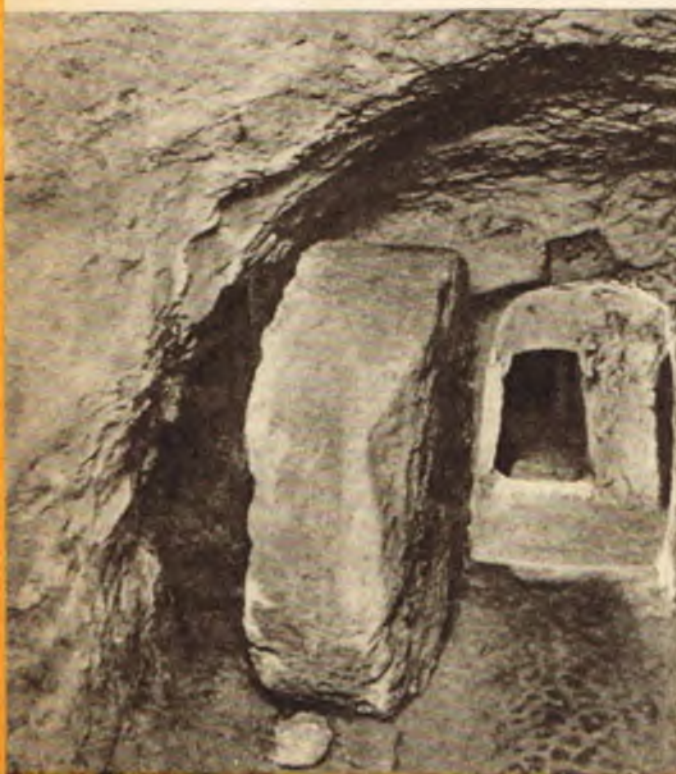
Tu zrodził się Kościół Katolicki, który wkrótce po śmierci Chrystusa rozesał Swych Apostołów z „Dobrą Nowiną“ na wszystkie strony świata.

Toteż od pierwszych wieków chrześcijaństwa drogocenne pamiątki związane z życiem, działalnością i śmiercią Chrystusa Pana były i są otaczane jak największą czcią.

W czasie wojen, jakie się tu toczyły, miejsca święte ulegały kilkakrotnie częściowym zniszczeniom i przechodziły pod władzę najeźdźców, najczęściej wrogów chrystianizmu. Ale po wojnie wierni odbudowywali zniszczenia – restaurowali cenne zabytki.

Na zdjęciach widzimy „miejsca święte“ w stanie dzisiejszym, powojennym, po roku 1945.

Gruby wykute w skalach w okolicy Jeruzolimy. Zamyka je wielki głaz (z lewej) podobny do kamienia młyńskiego. Tak wyglądał zapewne grób Lazara, z którego Chrystus powrócił do życia. Tak wyglądał Grób Chrystusowy, do którego spieszyli niewiasty w poranek wielkanocny, aby namaścić Chrystusowe ciało, niepokojąc się kto im odwali kamień grubowy – bo był on bardzo wielki...





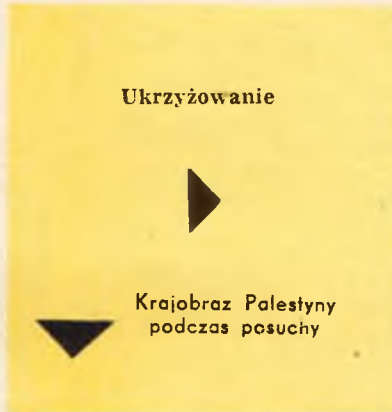
Kościół na Górze Błogosławieństw



Jerozolima. — Kopuła św. Grobu



Jerozolima — jedna z ulic Drogi Krzyżowej Chrystusa Pana



Wnętrze Grobu Zbawiciela



Ruiny Synagogi w Kafarnaum



Panorama Jerozolimy



Zapomniany człowiek żył często samopas, zmagał się z trudnościami, walczył o chleb, o prawo do bytu, szamotał się wewnętrznie rozdarty konfliktami, oszukany i zawiedziony często przeklinał dzień swego urodzenia. Gdy się zwracał do sług Kościoła o radę, o pomoc — gdy się powoływał na Chrystusa, spotykał się z zimną obojętnością i z niechęcią. Studzy Kościoła, gdy im zapłacono chrzcili, błogosławili, namaszczali, śpiewali psalmy, a gdy zaszła potrzeba, z krzyżem w ręku prowadzili tych samych pod szubienicę.

To nie chrześcijaństwo, to Kościół rzymski w ciągu wieków zawierał sojusze z każdym, kto miał władzę i pieniądze, podpierał trony mocarzy, błogosławił armaty, wyklinał i rzucał ekskomuniki, podtrzymywał fanatyzm i nietolerancję.

To nie chrześcijaństwo, to blichtr i przepych watykańskich pałaców zaćmił w duszach ludzkich obraz ubogiej stajni, w której Pan Wielkiego Majestatu spotkał się bezpośrednio z człowiekiem na ziemi.

To nie chrześcijaństwo, to tiary złociste, mitry, oznaki władzy dworu cesarów, przysłoniły wierzącym koronę z cierni, po której przed 19-tu wiekami krew za odkupienie ludzi spływała obficie.

To nie chrześcijaństwo, to kardynałowie i uzbrojona gwardia papieska zastąpiła ludziom tych, którzy kiedyś opuściwszy wszystko i wszystkich poszli na Nim, by królestwo Boże na ziemi budować.

Wszystkie jednak błędy Kościoła rzymskiego, nadużycia i wypaczenia nauki Chrystusa na przestrzeni wieków nie mogą w naszych oczach pomniejszyć postaci Chrystusa, ani wartości jego ewangelii w życiu współczesnego człowieka.

Wierzący ludzie, dla których Bóg i człowiek są największymi wartościami, nie mogą zrezygnować z walki o realizację pełni chrześcijaństwa na ziemi.

Nowy Testament ogłoszony przez Chrystusa ma być duchową konstytucją dla całej ludzkości. Nie stanie się to w cudowny sposób, ani samo nie przyjdzie. Każdy człowiek, każde pokolenie musi wnieść do budowy Królestwa Bożego na ziemi swój udział i swój wkład. Królestwo miłości, pokoju, braterstwa między ludźmi to suma wyrzeczeń, poświęceń i ofiar tych, którzy Chrystusa obrali za swego Pasterza i Mistrza życia, którzy z człowieka egoisty uczynić pragną współbudowniczego Królestwa Bożego na ziemi.

Czas, w którym żyjemy, wymaga od nas indywidualnego i społecznego wyznania naszej wiary przez ludzi nie tylko z krzyżem na szyi, udziałem w pielgrzymce czy w procesji, lecz postawą w życiu codziennym godną chrześcijanina, który wierzy w Boga i wierzy w człowieka.

W dniu 11.II. br. J. E. Ks. Biskup Ordynariusz Dr Maksymilian Rode w kościele prokatedralnym w Warszawie udzielił święceń niższych i wyższych alumnom Wyższego Seminarium Duchownego i studentom Sekcji Starokatolickiej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

Na zdjęciach fragment uroczystości święceń.



Wielu ludzi współczesnych twierdzi, że chrześcijaństwo w dużym stopniu przeżyło się, że nie zdało egzaminu, jest za mało atrakcyjne i nie przekonujące.

Na poparcie swych twierdzeń wyliczają wszystkie błędy Kościoła rzymskiego, jego działalność polityczną, antynaukową postawę, fanatyzm i zacofanie.

Dla wielu ludzi chrześcijaństwo i praktyczna działalność Kościoła rzymskiego — to jedno.

Jest to oczywiście uproszczenie sprawy.

Prawdą jest, że chrześcijaństwo stało się mało atrakcyjne i nie wywiera dostatecznego wpływu na życie moralno-społeczne narodów chrześcijańskich i na kształtowanie się stosunków międzyludzkich.

Prawdą jest, że narody cywilizowane obcując z przedstawicielami religii chrześcijańskiej w codzień nie kwapią się do jej przyjęcia.

Prawdą jest, że tak pojmowane i realizowane chrześcijaństwo jak w ciągu wieków w Kościele rzymskim wpłynęło na zobojętnienie tych, którzy się w nich urodzili, a wielu nawet oddaliło się od Boga i wiary.

Prawdą jest, że chrześcijaństwo nie spełniło marzeń wielu pokoleń, które ryły, pracowały i umierały z wizją królestwa Bożego już tutaj na ziemi. Winę za ten stan rzeczy ponosi w znacznym stopniu Kościół rzymskokatolicki.

Wystarczy trochę dobrej woli, aby odróżnić ziarno od plew, a chrześcijaństwo od jej spaczonych formy w interpretacji i praktyce Kościoła rzymskiego.

To nie chrześcijaństwo, to Kościół rzymski w ciągu wieków zajmował się piekłem, czyściem, palił heretyków, prowadził wojny, zbadał rolę aniołów, tworzył świętych i określił ich kompetencje w niebie, koronował obrazy wodą cudowną, leczył chorych, uczył pokory, poddaństwa, przyjaźnił się z możnymi, a zapomniał zupełnie o szarym człowieku, który pragnie szczęścia i zbawienia, który chce wiedzieć, po co żyje na ziemi, dokąd dąży, jaki jest jego cel i przeznaczenie.



Przemysławice, małe miasteczko w Poznańskim, a w nim żywi ludzie jakich miliony. Żyją, kochają się, walczą, cieszą się i smucą.

Szymon Bogusławski skończył gimnazjum i postanowił zostać księdzem. Zdaje sobie sprawę z trudności tego stanu i z szeregu sprzeczności wewnętrznych. Spotkał się już z życiem duchownym. Ku zadowoleniu rodziców wstępuje do Seminarium.

Starczyński, profesor Bogusławskiego, powrócił z sanatorium, spotkał się ze swoją Wisławą, która go kocha. Już pierwszego wieczoru przekonał się, że to nie tylko kobieta lecz i człowiek, której miłość i pożądanie nie jest ślepym żywiołem lecz prawem rozumu i serca.

A było dużo do opowiadania. Właściwie mówił Hieronim. Od 3 września był na nowej posadzie w Poznaniu. Nowa placówka imponowała mu. Przez pierwszy miesiąc poczynił dużo nowych spostrzeżeń, poznał kolegów, zorientował się z grubsza w swoich planach na przyszłość. Oglądał się też za odpowiednim mieszkaniem, a teraz otrzymawszy jeszcze dodatkowe 4 tygodnie urlopu zdrowotnego, przyjechał do Skotnik, aby ostatecznie zejść się z Wisławą i rozpocząć nowe, wspólne życie w Poznaniu. Kiedy już ustalono nawet datę ślubu i postanowiono pójść na spoczynek, Hieronim spieszenie dodał.

— Ale nie powiedziałem wam jeszcze o niespodziance, jaką mnie spotkała, o miłej niespodziance.

— Wspominałeś już o niej — wtrąciła Wisława, ale nie dopominałam się o nią — gdyż nie chciałam być nahałną, ale byłam i jestem bardzo ciekawa, coż to za niespodzianka. Zamieniamy się w słuch. Mów, proszę.

— Jutro ukaże się w warszawskim dzienniku pierwszy odcinek mojej powieści. Tytuł powieści: „A miłość trwa...”. Otrzymałem z góry honorarium. Wcale ładne, bo złotych 5000. Oto moja książeczka oszczędnościowa.

Powiedział to prawie jednym tchem. Po czym przerwał, patrząc jakie to wyznanie zrobi wrażenie na Wisławie.

— Jesteś wspaniałą, ty mój kochany — wypowiedziała zdecydowanym głosem Wisława. Ale treści, jaka treści — powiedz chociaż krótko, bo inaczej nie będę mogła spać.

Józef Starczyński zmęczony dniem i długą rozmową robił wrażenie, jakby już wiadomość ta nie miała się jego świadomości. Toteż wiedziony potęgą ogarniającego go snu — krótkim „dobranoc” pożegnał wpatrzonych w siebie narzeczonych.

— „A miłość trwa...” — ładny tytuł. Ale — powtórzyła Wisława jeszcze mam swą prośbę, ton był jednak tym razem dosyć zdecydowany — choć w kilku zdaniach stresć mi, tą twoją powieść. Wstała i usiadła na miejscu Józefa Starczyńskiego, na kanapie tuż przy swoim Hieronimie. Przytuliła się do niego. Wygodnie usiadła i przymilnie powiedziała:

— Mów teraz, mów Hieronimie — o swojej powieści, a w tym również momencie jej prawa dłoń spotkała się z lewą dłonią Hieronima. Dłonie ich rozpoczęły mówić swoim językiem. Ich słowami były ruchy, drgania, muśnięcia. A w ich takt płynęły słowa Hieronima.

— „A miłość trwa...” — taką ma treści:

Marek miał na imię. Był zakonnikiem. Lat około 40. Brunet. Wysoki. Oczy podkreślone obwódkami i jakby nieco ukośnie osadzone pod dość wysokim czołem... Dreczęła go samotnicza pustka i dogłębna tęsknota za towarzyszką życia, bez której czuł się coraz bardziej niepełnym człowiekiem. Toteż wyraz jego twarzy był zawsze raczej zmęczony. Ręce, a zwłaszcza dłonie wzdarte. Palil papierosy, wódką nie gardził. I oto owemu Markowi wypadło spędzać wakacje w gorach. Chodził po świecku. Ani się spostrzegł, kiedy wśród upajającego powietrza górskiego, znalazł przy sobie

młodziutką Helenkę. Liczyła ledwie 26 wiosen. Wzrost średni. Raczej brunetka. Nie tęga, nie szczupła. Miła i wesola. Rozśpiewana. Ani ona, ani on spotkawszy się raz, drugi i trzeci przy wspólnym stole w pensjonacie nie myśleli o tym, że...

Że już trzeciego dnia odbędą przechadzkę sam na sam. Przechadzkę całodzienną. Że ją powtórzą nazajutrz. Szybko się poznali. Pokochali, a chociaż się bez liku obcałowowali, zadowolili się tylko całusami i czułymi słowami.

— Ona mówiła — i tak się nie możemy pobrać, więc nie można, nie wolno — chcę pozostać niezależną. Zresztą nienawidzę mężczyzn. Ciebie nie, ty jesteś wyjątkiem — dodała — ale brzydzę się tymi rzeczami.

— A kiedy ty dowiedziałas się, że bocian nie przynosi dzieci? — spytał nagle Marek przerywając jej wywody.

— Kiedy miałam 12 lat. Powiedziała mi o tym służąca.

Wreszcie Helenka wyjechała. Pisywali do siebie gorące listy. Spotykali się. On ją odwiedzał. Znowu całowali się, ale i nic ponadto.

Pewnego razu — on trzymając ją w ramionach — nie czując zresztą podniecenia zmysłowego, powiedział jej:

— Och, jak byłoby mi przykro, gdyby ciebie miał kiedyś osiąść jakiś mężczyzna.

Ona dała odpowiedź wymijającą. A on po raz pierwszy poczuł, że jego z nią łączy raczej tylko duchowe przeżycia, są jednak bardzo głębokie. Zasmucił się, ale kiedy żegnając ją — usłyszał u drzwi mocno, choć szepcetem powiedziane do ucha: „kocham cię” — drgnął. W tej chwili zrozumiał, że już nie łatwo będzie wykreślić z życia te nowe, dotąd więcej czy mniej obce, przeżycia. Ona patrzyła za nim, odchodzącym po schodach, smętnym okiem. I ona czuła to samo. Czas płynął. Spotykali się jeszcze szereg razy. Stali się sobie duchowo potrzebni. Rozumieli się bez słów. Było im dobrze ze sobą. Aż pewnego dnia zjawił się dawny jej znajomy. Przyjechał z zagranicy. Był wolny. Skończył 30 rok życia. Wysportowany. Wygadany. Marek nie chciał być konkurentem. Usunął się. Ona obraziła się na Marka, twierdząc iż jest niepotrzebnie zazdrosny. Po kilku miesiącach Marek spotkał się z nią zupełnie przypadkowo w Warszawie. Długo chodzili Alejami Jerozolimskimi. Wreszcie powiedzieli sobie nie bez dużej dozy złości: „Tyś mnie właściwie w ogóle nie kochał”. — On nie pozostał dłużny i powiedział jak echo: „Tyś mnie też prawdziwie nie kochała. Tyś zrobiła sobie ze mnie zabawkę. Ale idź za niego i bądź szczęśliwa. Idź za niego, chociaż ja pamiętam Twoje słowa: wyszłabym za mąż tylko za ciebie, ale ponieważ to jest niemożliwe i moja matka na to też by się nigdy nie zgodziła, nie wyjdę za mąż w ogóle, bądźmy ze sobą małżeństwem duchowym, w ramach dozwolonych przez prawo natury. Pamiętam to doskonale: bądź szczęśliwa!”

Pożegnali się, wprawdzie dość nagle i gniewnie, ale nie grzecznie i poszli w przeciwnych kierunkach.

Pierwsze tygodnie i miesiące były dla obojga ciężkie. Zwłaszcza sny przypominały im szczęśliwe chwile i pogodne dni. Ale ostatecznie, ją prędko pochłonęły obowiązki małżeńskie, po tym rodzinne, a on — Marek, nierzadko szukał zapomnienia w kieliszku, nadto miał również niemal obowiązków zawodowych, a chociaż nie dużo pracował, wyglądał zwykle na jakiegoś zmęczonego, niewyspanego, zadumanego. Po pięciu latach, kiedy wydawało się, iż wszystko skończono, zapomniane, otrzymuje Marek w zielonej kopercie świstek papieru, taki, jaki już otrzymał w pierwszych dniach znajomości z Heleną.

„Marku, chcę Cię zobaczyć”. Mieszkam w Gdyni“.

Marek oczywiście pojechał. Serce mu biło tempem przyspieszonym, kiedy zadzwonił do tej mieszkania. Po chwili sama mu otworzyła. Nie poznał jej — tylko głos powiedział mu, że to jednak ona.

— Dobrze żeś przyjechał. Ale teraz on jest. Poczekaj na mnie w parku. Będę się starała być około godziny siedemnastej. Przepraszam cię. I zamknęła drzwi.

Marek jeszcze długo stał przed drzwiami. Nie mógł jakoś tego wszystkiego zrozumieć. Kto to był? Byłaż to Helena? Dlaczego taka mizerna?

Trzy godziny wlokły się Markowi jak długie dni. Kołował po Gdyni. Przystawał przy oknach wystawowych, by czymś innym zająć swoją wyobraźnię, ale stale widział tę biedną Helenę.

— Marku! Oj, Marku! — On, on jest potworem. On mnie nigdy nie kochał. On mnie pożądał. A wiadomo — pożądanie zaspokojone raz, budzi się i domaga się silniejszego przeżycia, to zaspokojone żąda znowu nowego, jeszcze silniejszego i tak bez końca. To jest zmysłowość. On kochał moje ciało. Ale po pierwszym dziecku już nie wróciłam do swej urody, a po drugim, zwłaszcza zaś po trzecim — zrazu rozżyłam się mocno, mimo wyczerpujących mnie dobrownie i celowo sobie nakładanych postów, po tym zachorowałam na tyfus. Bardzo cierpiałam. On mi nie współczuł. Wyzdrowiałam. Ale widzisz, jak teraz wyglądam? On mnie ma już dość. On mnie nienawidzi. Dawno, oj dawno

zabronił mi śpiewać. Żal mi moich dzieci. Tak, mam ich troje, Marku!...

— Milczeli. Fale Battyku szumiały.

— Dwoje ludzi. Ona — Helena przez pięć lat inna kobieta. Wszystko się w niej i koło niej zmieniło. On — Marek — przez pięć lat tęsknotą i osobistą tragedią przeżył przynajmniej lat 10. Nikt go już inaczej nie liczył jak po pięćdziesiątce. Tak się zmienił. Ale zesłali się. Czuli się znowu blisko. Choć zawsze jeszcze milczeli. Wreszcie on rzekł:

— Pomogę Tobie, Helenko. Będziesz znów śpiewać — Helenko! Zabijałem przez te lata celowo Twój obraz w sobie. wszystko w swoim życiu zmieniłem, potargałem; wmawiałem w siebie, że nie ma miłości między ludźmi; zniemawidziłem Ciebie i wszystkie Twoje sprawy; wzniemawidziłem Cię w sobie uśmierciłem: A jednak miłość trwa.

— Marku! — Nieszczęśliwa kobieta, która nie idzie za pierwszą miłością swego serca. Nie wiek mężczyzny może dać szczęście kobiecie. lecz mężczyzna pokrewny jej duchem. Wszystko u mnie przeminęło, wszystko się zmieniło. Ale miłość moja ku tobie wciąż trwa...

KSIEGA TRZECIA

Kapłaństwo Bogusławskiego

Rozdział szesnasty

Chodzący pojedynczo, w odpowiednich od siebie odstępach, robili wrażenie ludzi nie tylko pozbawionych umiejętności i zdolności mówienia, ale wprost z innej planety, ludzi, którym nie wolno się ze sobą stykać, ze sobą rozmawiać czy nawet na siebie spoglądać. Chodzili wzdłuż krętych ścieżek ogrodu. Część z nich czerniła się krepą sutann. Część nosiła jeszcze różnego fasonu i koloru ubrania cywilne. Ci, chodzący po parku seminarijnym, alumnj I i II roku Seminarium Duchownego odprawiali rekolekcje. Nie wolno im było ze sobą rozmawiać.

Rektor Seminarium, wysoki, o ascetycznym wejrzeniu szarym w sile wieku, a jeszcze bardziej ojciec duchowny o świecącej łysiną głowie — pilnie uważał, aby milczenie w czasie rekolekcji było zachowane. Alumnj II roku mniej się przemawiali regulaminem, umieli go już doskonale rozumieć na swoją korzyść, tłumaczyli go sobie teologicznie, byle przełożeni nie zobaczyli. Nowicjusze jednak po surowej Egzorcie samego rektora i po nauce wstępnej ojca duchownego milczeli w czasie swoich pierwszych rekolekcji kłeryckich bardzo sumiennie. Dla większości całodzienne absolutne milczenie było nie lada udręką. Większą, niż wysłuchanie czterech półgodzinnych egzort, głoszonych bardzo monotonna, jakby bez przekonania, przez ojca rekolekcyjnego. Większą było udręką milczenie niż droga krzyżowa, odprawiana na korytarzu i długie klęczenie na jego twardej posadzce przed każdą stacją; młode delikatne kolana już przy piątej stacji buntowały się, przy każdej następnej coraz bardziej wzmagal się ból kolan i coraz gorętszy wywoływał pot na całym ciele.

To była rzeczywiście pot wyciskająca praktyka. Ale mimo wszystko dla młodego człowieka przyzwyczajonego do gwaru — uciążliwsze było milczenie.

Rekolekcje odbywały się w pierwszy piątek miesiąca listopada, były one też pierwszymi rekolekcjami po rozpoczęciu nowego roku akademickiego w Seminarium Duchownym. Szymon Bogusławski przyjechał do Seminarium jakby z pewnym lękiem, powstałym z pewnością wskutek dawnego snu.

Tej chwili wyczekiwał, a jednocześnie im bardziej ku niej się przybliżał, bał się jej. Nie był to strach — taki zwyczajny, normalnie u ludzi spotykany. Był on innego rodzaju. Jego narodziły rozpoczęły się w chwili żegnania się z rodzicami i jedyną siostrą, trwał przez całą podróż, a przedzierzgnął się w pewnego rodzaju zawstyżenie w chwili wejścia na korytarz seminarjny. Tu owionęła go jakaś inna atmosfera. Była ona inna i to o tyle, że chwytala go jakby kleszczami, od których uściśnienia brakowało tchu. Głos odbity o ściany korytarza wracał jakiś obcy, przy tym był twardy. Stary pocziwy kasztelan wydawał się w swej pocziwości duchowej śmieszny, a prowadząc Bogusławskiego do pokoju dla niego przeznaczonego na III piętrze, robił wrażenie człowieka cieszącego się, że znowu tu kogoś złowiono. Miał ironiczny, złośliwy uśmiech, chociaż potem okazał się naprawdę pocziwym, zawiadzonym człowiekiem. Pokój Szymona był, jak i wszystkie inne pokoje kłeryckie, skromny. Bił z niego chłód. Ta sama dusząca atmosfera zdawała się sączyć z jego ścian.

Razem z Bogusławskim w pokoju zamieszkał dwaj inni studenci. Byli już w pokoju. Zajęli dla siebie miejsca. Szymon nie miał kłopotu z wyborem, musiał zająć pozostałe łóżko, pozostały stolik i pozostała połowa szafy.

Jeden ze współlokatorów, szczupły, robił miłe wrażenie. Był zamysłony, raczej małomówny. Wyglądał trochę na pierwsze wejrzenie na marzyciela. Drugi z lekka się jękał — udawał

zucha; starał się od razu być przewodnikiem. Poznać było łatwo, iż gra, chce imponować. Obaj nie doszli do kapłaństwa. Pierwszy wystąpił z Seminarium w chwili, kiedy miał powziąć decyzję, drugi musiał opuścić Seminarium Duchowne i jako kłeryk usiłował okazać swoją duchową gorliwość, tak, że później popadł w drugą krańcowość. Rozpoczęli między sobą rozmowę. Banalną. Nie znali się. Bogusławski zresztą był raczej zagadywany. Sam jeszcze był pod jakimś dziwnym wrażeniem. Nagle wyszedł z pokoju i udał się do kaplicy. Tam się modlił, ale wciąż jeszcze trwało w nim to dziwne uczucie. Nie opuściło go ono również w refektarzu; przeciwnie, skoro się tu znalazł w dość licznym gronie obcych ludzi, jednych już ubranych w rewerendy, drugich w wielkim stopniu podobnie jak i on nieco wystraszonych, a w każdym razie onieśmielonych, czuł się jeszcze bardziej nieswojo. Po prostu coś go krepowało. Całą kolację był zaszępiony. Jadł mało. Modlitw łacińskich mówionych zbiorowo podczas i po kolacji nie rozumiał. Ksiądz rektora siedzącego razem z nimi w refektarzu, ale jedzącego inną kolację przy swoim stoliku, czego nie bardzo mógł pojąć Bogusławski, wszyscy nowicjusze pilnie obserwowali.

Inny powionął duch w kaplicy, dokąd udano się na modlitwę po wieczery. Tu Szymonowi jakby kamień spadł z serca. Poczuł się innym człowiekiem. Wydawało mu się, że kaplica ta nie ma nic wspólnego z całym gmachem. Kiedy już wszyscy z niej wyszli, on jeszcze klęczał i modlił się. Rozważał swój krok. Nie spostrzegł, jak minęła przerwa i znowu na głos dzwonnka wszyscy alumnj gromadzić się poczęli w kaplicy na modlitwy wieczorne. Jakoś nie bardzo brał udział w tych nowych modlitwach. Dotąd mówił zawsze swój pacierz, którego nauczyła go jego matka. Dzisiaj słyszał inne modlitwy. Jakoś nie brały go. Były, jak i cały gmach seminarjny, jakieś zimne, obce. A kiedy zapowiedziano rachunek sumienia, Szymon przede wszystkim oskarżał się przed Bogiem z tego, iż nie czuje wymarzonego szczęścia ze znalezienia się w Seminarium; a tak się spodziewał, że go niemal fizycznie dozna z chwilą przekroczenia stopnia seminarijnego gmachu! Przypomniał też sobie różne szczegóły, które mu opowiadał magister Starczyński w swoich wrażeniach z pierwszych dni pobytu w Seminarium. Niektóre wrażenia się pokrywały. Ale o tym duchu obości, czy ostrości, czy nienaturalności, o tej dziwnej dla Szymona atmosferze jednak Starczyński niczego nie mówił.

Pierwsze dni i tygodnie pobytu Bogusławskiego w Seminarium Duchownym były owiane jakąś nieokreśloną atmosferą. Nawet wykłady, raczej przez profesorów dyktowane, od pierwszej chwili ich słuchania działały zniechęcająco i odpychająco.

W świat zaś nocy wprowadziły Szymona rekolekcje.

Pierwsze jego rekolekcje zamknięte. Pierwszy dzień absolutnego milczenia. Pierwszy dzień wchodzenia w siebie na progu nowego życia.

Krótki ponury dzień listopadowy sprzyjał duchowym roztrzęsieniom. Sunące po parku postacie zdawały się być w zapadającym mgławicowym mroku przybyszami z pobliskiego cmentarza. Byli cisi. wśród nich Bogusławski. Kroczył wolno i samotnie; na ramionach miał zarzucony czarny płaszcz, bez kapelusza. Szedł istotnie wolno. Jakby każdy ruch nog wymagał oddzielnego zastanowienia się i działania. Myślał o treści ostatniej egzorty.

(Cdn.)





K O N G O



▲ Aresztowanemu Lumumbie związano ręce i przyprowadzono go do stóp Mubutu, rzecznika kolonializmu.

Patrice LUMUMBA w bibliotece, z ręką na księdze praw ślubuje swej ojczyźnie, że uczyni wszystko aby była wolna i suwerenna. ▶

KILKA tygodni upłynęło już od śmierci premiera Konga, Patrice Lumumby, zamordowanego wraz z towarzyszami przez imperialistów, którzy chcieliby zdławić ruch wyzwolenczy, którym kierował Lumumba, i utrzymać kolonializm w tym kraju.

Przypuszczaliśmy, że na wieść o uwięzieniu i katowaniu Lumumby, który walczył o wyzwolenie swego narodu, zabierze

głos papież, który w oczach wielu uchodzi za najwyższy autorytet moralny w świecie chrześcijańskim.

Pamiętamy przecież, że papież interweniował w sprawie generalnego gubernatora dr Franka skazanego w Norymbardze na śmierć za zbrodnie wojenne.

Wobec uwięzienia i śmierci Lumumby — Watykan zachował milczenie.

Tysiące dzieci umiera codziennie z głodu w Kongo.

Zginęli ludzie walczący o chleb dla nich, szczęście i wolność całego narodu. Papież jednak milczy, bo kolonizatorzy to przecież belgijscy rzymscy katolicy.

Ze wszystkich ambon rzymskokatolickich głosi się: „Nie masz Greka, Rzymianina, czy Żyda...”.

Nie masz Murzyna, Belga, Francuza czy Amerykanina. W praktyce są panowie i niewolnicy.

Po czyjej stronie?

KOŚCIÓŁ rzymskokatolicki chętnie nazywa się kościołem „wojującym”. Wyrazem tego, jest dążenie do podporządkowania całokształtu życia jednostki i społeczeństw Kościołowi rzymskiemu.

Ale bezpowrotnie minęły czasy, kiedy panowała jedność między władzą duchowną i państwową. Minęły czasy, kiedy autorytetu Kościoła bronili inkwizytorzy, kiedy wszelkie przejawy myśli twórczej spotykały się z ekskomuniką Rzymu, który stał się symbolem wsteczności i zacofania. Wystarczy przypomnieć Galileusza, potępienie przez Kościół rzymski odkryć Mikołaja Kopernika.

Kościół rzymski nie zrezygno-

wał z panowania nad światem, zmienił tylko metody.

Stojąc uparcie na pozycjach obrony feudalizmu, przeciw któremu buntowali się wierni, musieli przegrać w dziejowej walce nowego ze starym. Kiedy rozwinął się ruch robotniczy i lud sięgnął po władzę, przed Watykanem stanął w całej ostrości problem: czy Kościół ma służyć możliwym tego świata, czyli małuczkiem.

Papieże Leon XII i Pius X, „nieomylnie”, ale ze szkodą dla Kościoła rzymskiego opowiedzieli się po stronie tych bogatych.

Wraz ze wzrostem świadomości społecznej klasy robotniczej, która zdobywała coraz większy

wpływ na życie polityczne, maleją wpływy Kościoła rzymskiego. Jest sprawą znaną od wieków, że hierarchia Kościoła rzymskiego broni interesów klas posiadających. Kościół rzymski, kierowany przez „nieomylnego” papieża, usiłuje przedłużyć panowanie swoich dobrodziejów i kolatorów kosztem małuczki i ubogich. I tej antychrystusowej praktyce hierarchii kościelnej przeciwstawia się odrodzeniowy ruch katolicko-narodowy, który odrzuca dogmat o „nieomylności” papieża i całą opartą o fikcję intelektualną naukę o nieomylności człowieka.

Jeden jest Jezus Chrystus. Jedną jest Jego nauka przekazana nam w Ewangelii.

Z nauki Chrystusowej wynika określona postawa etyczno-społeczna i normy życia. Obce były Chrystusowi złociste tiary i obcowanie z bogaczami. Podający się za jego namiestnika na ziemi biskup rzymski z największymi faryzeuszami świata — znajdował zawsze wspólny język. Jeśli kto zapyta o przykłady, niech sięgnie do niedawno minionej przeszłości. W Korpusie dyplomatycznym przy największym zbrodniarzu wo-

jennym Adolfie Hitlerze działał przedstawiciel dyplomatyczny Watykanu. Fakt, że w obozach koncentracyjnych hitlerowskich Niemiec ginęli i katolicy, i protestanci, nie powstrzymywał papieskiego przedstawiciela dyplomatycznego od codziennego obcowania z hitlerowcami. Ten sojusz Watykanu z Hitlerem stanowi jeszcze jeden niestawny moment w wielowiekowej sprzecznej z zasadami nauki Chrystusa praktycznej działalności papieżstwa.

Może ktoś powiedzieć, że tak być musiało, że to były lata wojny.

My na to odpowiadamy: wykładnia moralności chrześcijańskiej jest jedna. Ten, kto narusza boskie nakazy, kto zostaje w sojuszu z ambasadorami szatanu na ziemi — a za takich trzeba uznać ludobójczych hitlerowców — ten zapomina o najświętszym przykazaniu: nie zabijaj. Ten, kto z zabójcą za pan brat obcuje — staje się jego moralnym współnikiem. Wspólnikiem hitleryzmu i włoskiego faszystu był biskup rzymski — papież i jego rzymska kuria. To jest fakt historyczny nie do zaprzeczenia.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO

NIEDOLA MURZYŃÓW — NASZĄ WINĄ

Pod tym tytułem kierownik Zakładu Pomocy Kościołów Ewangelickich Szwajcarii, dr Hellstern z Zurychu, wygłosił niedawno w mieście Cottbus (NRD) odczyt, w którym na podstawie osobistych wrażeń i spostrzeżeń nakreślił niedolę ludności murzyńskiej w Afryce i Ameryce. W czasie swej podróży, jako wysłannik wymienionej instytucji dobroczynnej, dr Hellstern poznał walkę ludu kongijskiego o wolność i słyszał historię Murzyna imieniem Szymon Kimbango, który przez 21 lat był więziony i umarł w roku 1950. Grób jego dzisiaj, po wyzwoleniu ludu spod ucisku belgijskiego, jest świętością, którą odwiedzają liczni pielgrzymi. Kimbango uczęszczał do baptystycznej szkoły misyjnej. Był katechetą i głęboko przejął się niedolą swego narodu. W wizjach oglądał zbliżający się koniec białych i nie robił z tego tajemnicy. Chrysus — mówił — powróci jako Murzyn. Belgijski rząd kolonialny bał się dalszego szerzenia tych poglądów i użył wszelkich środków, aby schwycić Murzyna. Sąd skazał Szymona Kimbango na śmierć i w końcu zamienił „łaskawie“ karę śmierci na dożywotnie więzienie. Zwolniony jego połączyli się niedawno w ruchu „kimbangistów“ i biorą

czynny udział w walkach rewolucyjnych.

Na przykładzie Konga prelegent przedstawił winę Kościołów wobec Afryki. Spośród 14 milionów mieszkańców Konga zaledwie jeden milion umie czytać i pisać. Sieć szkół misyjnych nie wystarcza, aby choć w przybliżeniu przewyżczyć analfabetyzm. W Kongo żyje siedem milionów chrześcijan, z czego dwa miliony protestantów. Prawie każdy Kongijczyk jest chory. Malaria i anemia jeszcze nie są opanowane. Nie ma żadnych rurociągów ani kanalizacji dla ludności. Kaluże, powstałe z odpadków i ścieków, są wylęgarnią moskitów.

Od wiosny ubiegłego roku wieje nowy wiatr w Kongo. Ogromnej niedoli nie można jednak z dnia na dzień usunąć. Zbiórka pn. „Chleb dla świata“ nie wystarcza. Dr Hellstern przypomniał, że po dziś dzień używana jest skarbonka z Murzynkiem, który za każdy grosz dziękuje kiwaniem głowy. Oczywiście nie uświadamiano sobie, że za taką zbiórką kryje się obraza Murzynów. Wina wobec Afryki ciąży na wszystkich Kościołach — oświadczył dr Hellstern.

500 MILIONÓW DZIECI ŻYJE W NĘDZY

We wspólnym liście pasterskim biskupi katoliccy obu państw niemieckich wezwali wiernych do

złożenia „ofiary postnej“ na rzecz milionów ludzi w różnych częściach świata, zagrożonych klęską głodu. Biskupi wskazują na straszliwą nędzę, która jest skutkiem kapitalistycznego i kolonialnego wyzysku. Dwie trzecie wszystkich ludzi nie osiągają — według ich

danych — nawet trzydziestego roku życia. Wśród 900 milionów dzieci na świecie jest 500 milionów niedożywionych, chorych, bezdomnych i bez nauki szkolnej. W Afryce połowa dzieci umiera przed osiągnięciem 15-go roku życia.



Kościół czechosłowacki — Budziejowice. Ks. Biskup dr Miroslaw NOWAK — udziela Sakramentu Chrztu św.

Kaplica pod Kościołem, w której umieszczone są urny z prochami zmarłych, spalonych w krematorium.



SPRAWY DNIA dzisiejszego

PRZEPILI STO GOSPODARSTW

Są klęski społeczne, których skutki rozciągają się na pokolenia. Jednym z największych schorzeń społecznych jest ALKOHOLIZM. Wiele się u nas mówi, wiele pisze na temat potrzeby walki z alkoholizmem. Powstają przychodnie profilaktyczne, izby wytrzeźwień, zakłady lecznicze. Alkoholizm jak szerzył się, tak się szerzy. Na wódkę ludzie w Polsce wydają ciężkie miliony złotych rocznie.

Weźmy dla przykładu powiat przemyski w woj. rzeszowskim (bez miasta Przemysła). Ludność tego powiatu wypila w 1960 r. 59 tys. litrów czystego spirytusu oraz 450 tys. litrów wina. Ogólna wartość wypitych trunków zamyka się sumą 17 milionów 500 tys. złotych.

Za te pieniądze — jak obliczyli „Nowiny Rzeszowskie“ — można by wybudować 100 gospodarstw.

Mniej więcej podobnie przedstawia się sprawa zużycia alkoholu w innych powiatach Polski. W miastach i miasteczkach ludzie piją na umór. Piją do utraty przytomności. A skutki nadużycia alkoholu, to rozkład rodziny, zaniedbywanie się w pracy, długi, powikłania życiowe, dzieci chore i niezdolne do normalnego życia.

Powstaje więc pytanie, czy w obliczu tych katastrofalnych skutków alkoholizmu nie należy wzmocnić walki z pijaństwem? Trzeba przejść od deklaracji do energicznego działania, zaczynając od rodziny. Nosicielami hasel wstrzeźliwości i antyalkoholizmu stać się muszą w pierwszym rzędzie polskie kobiety, na których barki spada głównie troska o moralne oblicze rodziny.

MOŻNA I TRZEBA BYĆ DUMNYM Z TEGO

Nie chcę pozostawiać Czytelnika pod wrażeniem ujemnych zjawisk zachodzących w Polsce.

Z różnych powodów matki porzucają dzieci. Znajdują one przy-

tulek w Stacjach Opieki nad Dziećmi, prowadzonych przez Wydział Zdrowia. W kronikach dziecięcych zakładów opiekuńczych można wyczytać w zestawieniach statystyczno-sprawozdawczych, jak tragiczne były dzieje dzieci porzuconych i podorzuczonych.

A. Kostarska zadała sobie trud zbadania śmiertelności dzieci — niemowląt w zakładach opiekuńczych. W różnych okresach śmierć zbierała tam obfite żniwo. Na 100 dzieci umierało 60 — 63. W zapisach odnoszących się do zmarłych dzieci widniały adnotacje: „znalezione na schodach“, „znaleziony przed domem“.

Były to dzieci, których matki nie miały pieniędzy na wychowanie tzw. „sekretnie“. Opinia publiczna bowiem piętnowała nieślubne dzieci. W obawie przed presją społeczną kobiety niezamężne porzucały dzieci, skazując je niejako z góry na śmierć.

W ostatnich latach na tym odcinku nastąpiła wyraźna poprawa. Nieszczęśliwa matka nieślubnego dziecka nie jest — tak jak dawniej — zaszczuta. Państwo

gwarantuje kobiecie — matce pełną opiekę nad nią i nad jej dzieckiem. Kobieta ciężarna jest chroniona przez prawo. Otrzymuje płatny urlop w okresie przed i po porodzie, pomoc lekarską w coraz bardziej rozbudowującej się sieci zakładów położniczych, żłobków i przedszkoli.

Usuwa się z naszego życia społecznego coraz bardziej warunki powodujące zło. Ale nielato jest usunąć z naszego życia wszystkie złe zjawiska. Nielato jest wykorzenić tkwiące nieraz bardzo głęboko jeszcze przeżytki, przesady i złe nawyki w podświadomości ludzi. Nielato odrobić wiekowe zacofanie i ukształtować ideał właściwej moralności.

Ale w zakresie opieki nad porzuconym dzieckiem istnieje wyraźny postęp. Wprawdzie w aktach rodowodowych znajduje się jeszcze adnotacja: „ojciec alkoholik“, „matka — źle się prowadzi“, ale zmniejsza się liczba dzieci porzuconych. W Warszawie było ich w 1950 r. — 27 w 1952 — 24, w 1960 r. — 13.

ADAM KŁOS

ROZMOWA

z Czytelnikami

„Stały Czytelnik z Łodzi“ napisał list do Redakcji w imieniu „Stalych Czytelników“. Zaznaczył w wstępie, że reprezentuje grono inteligentów z tytułami naukowymi i postawił Redakcji kilka zarzutów.

Czytelnicy mają prawo do dobrego mniemania o sobie, chociaż nawet forma i treść listu tego nie potwierdzały.

Trudno jest walczyć z nieznanym żołnierzem, a polemizować z anonimem.

Listów anonimowych nie zamieszczamy, gdyż „Stały Czytelnik“ nie bierze za jego treść odpowiedzialności, bo go nie podpisuje.

Pierwszym zarzutem „Stałego Czytelnika“ jest, że „niektóre artykuły tchną naiwnością“.

Stwierdzamy, że autorzy artykułów w „Rodzinie“ nie mają pretensji do nieomyślności, żalujemy jednak, że „Stały Czytelnik“ ani jednym słowem nie wykazał ani naiwności, ani niezgody z prawdą któregoś ze sformułowań. Poprzestał na głośnym stwierdzeniu, które nie może nikogo przekonać. Zarzut nie poparty żadnymi dowodami jest strzałem w próżnię.

„Stały Czytelnik“ pisze: „Czytaliśmy „Rodzinę“ jako pismo religijne, nie wchodząc w ogóle w problem czy ono jest wydawane przez Kościół Rzymski (jako organ jego Magisterium) czy Kościół Polski“.

„Stały Czytelniku“, takie twierdzenie jest pozbawione logicznego sensu. Nie można czytać „nie wchodząc w problem“. Nie ma „sztuki dla sztuki“, ani problemu bez problemu.

Każde pismo religijne musi reprezentować określoną doktrynę i to w określony sposób. Trudno np. w „Tygodniku Powszechnym“ znaleźć nie tylko życzliwe, ale obywatelne stanowisko wobec Kościoła Prawosławnego czy Ewangelickiego. „Poza Kościołem rzymskim nie masz zbawienia i basta“! Pismo religijne bez określonego oblicza byłoby scholastycznym majaczeniem.

„Rodzina“ nie jest magisterium Kościoła Polskokatolickiego, ale też nie jest wolną trybuną przypadkowych ludzi i ich poglądów. Wszystko co się pisze na jej łamach mieści się w Kościele, który jako Kościół Chrystusowy pozbawiony jest fanatyzmu, zacietrzewienia, czy doktrynerstwa.

„Rodzina“ też nie jest pismem problemowym dla intelektualistów z Łodzi, ze Środy, czy Grójca, którzy przy czarnej kawie chcą świat zreformować.

„Rodzina“ jest pismem popularnym, przeznaczonym dla wszystkich ludzi dobrej woli, odtwarza realne życie Kościoła i oświetla w duchu polskiego katolicyzmu problemy życia współczesnego człowieka.

„Rodzina“ chętnie korzysta z rad Czytel-

ników, z uwag i życzeń i o ile jest to możliwe, stara się je uwzględniać.

Wszystkich zainteresowanych doktryną i historią Kościoła odsyłamy do naszych wydawnictw i publikacji, w szczególności do „Posłannictwa“, które jest wyłącznie tym zagadnieniem poświęcone. Wystarczy napisać do Wydawnictwa Literatury Religijnej, ul. Wilcza 31.

Na pytanie w sprawie genezy historii Kościoła Polskokatolickiego „Stały Czytelnik“ znajdzie odpowiedź w „Posłannictwie“ nr 89, w artykule Ks. Bp. Dr. M. Rodego „O Kościele Jezusa Chrystusa“ w publikacjach „Zbuduję Kościół mój“ i „Wierzę w Kościół katolicki“.

Zarzuca nam „Stały Czytelnik“, że problem zjednoczenia Kościołów potraktowaliśmy po macoszemu i marginesowo. Prawda. Po prostu nie wierzymy w szczerą intencję papieżstwa w jego w tym zakresie poczynaniach. Papieżstwo znamy teoretycznie i praktycznie. Znamy też intencje, które są dalekie od ducha ewangelicznego. Dlatego nie podskakujemy z radości, nie klaszczemy i laurów w świat nie posyłamy.

Współpracujemy z ruchem ekumenicznym i dążymy do jedności w Chrystusie. Ci, którzy mają zastępcę Chrystusa na ziemi interesują się bardziej encyklikami, niż duchem Ewangelii.

Twierdzi „Stały Czytelnik“, że autorzy piszący w „Rodzinie“ są uczuciowo zaangażowani, co wpływa ujemnie na argumentację. Są uczuciowo zaangażowani na pewno. Pragniemy, aby zaangażowali się więcej. Wprawdzie inteligencja i rozum mają rządzić światem, a nie pałka, karabin, czy warunkowe odruchy. Kościół Chrystusowy jednak organizować trzeba wiarą, sercem, żarliwą pasją wewnętrzną. Na świecie mamy więcej dobrych teologicznych traktatów niż ducha chrześcijańskiej miłości. Gdyby apostołowie i ich pierwsi następcy zdobywali wiernych dla Chrystusa przy pomocy tylko filozoficznych traktatów, chrześcijaństwo do Łodzi by nie dotarło, a „Stały Czytelnik“ byłby stożkiem, epikurejczykiem, a może cynikiem, a dzisiaj jest rzymskokatolikiem i to dobrym.

Dlatego z postawy walczącej nie zrezygnujemy. Walka nasza nie wypływa z nienawiści do instytucji czy ludzi, lecz z miłości do prawdy. A że człowiek jest nosicielem prawdy i fałszu, dlatego zwalczając fałsz trudno ominąć człowieka.

Ponadto ludziom ta ambonowa i publicystyczna miłość trochę się już przejadła. Ci, którzy przez tyle lat z ambonny nazywają swych słuchaczy braćmi i siostrami, nie chcą tego potwierdzić, gdy tylko wrócą do plebanii.

Pragniemy miłość i sprawiedliwość realizować w codziennym życiu. Dlatego prosimy „Stałego Czytelnika“ i radzimy, aby zapoznał się z naszą skromną literaturą, z której dowie się o wszystkim co go interesuje.

Jeżeli „Stały Czytelnik“ jest stałym Czytelnikiem, to na pewno się jeszcze spotkamy, bo nie tylko myślenie, ale i czytanie ma jeszcze w Polsce kolosalną przyszłość.

Pozdrawiamy.

ZNACZENIE
IMION

Z E N S K I E. - Agata - dobra; Agnieszka - czysta; Anna - łaska Boga; Balbina - jaskółka; Barbara - obca; Beata - szczęśliwa; Brygida - błyszcząca; Cecylia - niewidoma; Czesława - ciesząca się dobrym imieniem; Dorota - dana od Boga; Eleonora - miłosierna; Elżbieta - oddająca cześć Bogu; Emilia - starająca się przypodobać; Eugenia - pochodząca z wysokiego rodu; Ewa - ta, która daje życie; Gertruda - wojownicza; Helena - święcąca; Jadwiga - walcząca w boju; Julia - młoda; Justyna - sprawiedliwa; Irena - dająca spokój; Katarzyna - czysta; Klara - sławna; Krystyna - chrześcijańska; Luiza - sławna w boju; Lucja - jaśniejąca; Małgorzata - perła; Maria - piękna; Marta - pani; Natalia - urodzona w okresie Bożego Narodzenia; Olga - wspaniała; Renata - nowonarodzona; Stefania - uwieczniona laurem; Tekla - ta, która służy Bogu; Teresa - myśliwa; Wiktoria - zwycięska; Zofia - mądra; Zuzanna - lilia.

M E S K I E. - Adam z ziemi zrodzony; Aleksander - waleczny; Andrzej - mężny; Benedykt - błogostawiony; Czesław - cieszący się sławą; Domini - należący do pana; Edmund - Edward - strzegący skarbu; Emanuel - z nami Bóg; Florian - piękny; Feliks - szczęśliwy; Franciszek - wolny; Grzegorz - czuwający; Henryk - panujący w domu; Jacek - kwiatek; Jerzy - rolnik; Józef - pomnażający; Kazimierz - cieszący się pokojem; Ludwik - zwycięski; Łukasz - oświecony; Robert - wielki sława; Stefan - uwieczniony; Sylwester - leśny; Tomasz - bliźniak; Władysław - sławny we władaniu; Zygmunt - strzegący zwycięstwa.

POTRZEBNI SĄ KAPŁANI KOŚCIOŁOWI

Wyższe Seminarium Duchowne w Warszawie przyjmuje kandydatów do stanu duchownego. Należy przedłożyć:

- metrykę urodzenia i chrztu
- świadczenie dojrzałości
- świadczenie lekarskie
- podanie i życiorys
- trzy fotografie

Zgłoszenia i korespondencje kierować na adres: Kuria Biskupia Kościoła Polskokatolickiego, Warszawa, Wilcza 31.

Wydawca:
Wydawnictwo Literatury Religijnej
Redaguje Kolegium
Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Telefon: 8-97-84; 21-74-98.
Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu“. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 - Centrala Kółportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch“ Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy.
Cena prenumeraty: kwartalnie - zł 26, półrocznie - zł 52, rocznie - zł 104.
Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kółportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch“ w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa, Konto Nr 1-6-100024.

Zakłady Wklesłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 367. S-47.

KALENDARZYK TYGODNIOWY NA 12 TYDZIEŃ ROKU od 19-25 marca 1961

19 N M. Pańskiej, Józefa
20 P Joachima, Euw.
21 W Benedykta op., Lubom.
22 Ś Oktawiana, Katarzyny
23 C Pelagii, Wiktoriana
24 P Gabrieli Arch.
25 S Zwiast. NMP.

Wschód
słońca

Zachód
słońca

5,42
5,39
5,37
5,35
5,32
5,30
5,28

17,48
17,50
17,51
17,53
17,55
17,57
17,58

(Korespondencja własna z Fortalezy — Brazylia)

Jest luty. W 300-tysięcznym mieście Brazylii, Fortaleza, położonym nad Atlantykiem, mieście wielkich kontrastów, pięknych willi, samochodów i małych chatynek, wybuchła epidemia wścieklizny.

Ludzie pokąsani przez wściekłe psy szukali ratunku w szczepionce przeciw wściekliznie w laboratorium dr. Litton. Po kilku dniach u wszystkich wystąpiły objawy wodostreptu. Epidemia rozszerzyła się do rozmiarów katastrofy. Odpowiedzialnym za to, co się stało, jest wspomniany wyżej dr Litton, który wypuścił z laboratorium nie kontrolowaną szczepionkę.

W mieście zapanowała panika wobec widma straszliwej śmierci. Władze miejskie wydały zarządzenie zabijania psów... A było ich w mieście wiele, chowają je bowiem wszyscy jako obronę przed złodziejami. (Brazylia jest krajem rzymskokatolickim).

Rozpoczął się dramat dzieci, które przywiązane do swych czworonożnych przyjaciół — na próżno usiłowały ratować je od śmierci. Chwytały za spodnie, biły małymi piąstkami i płacząc wołały: „Nie zabijajcie“.

W ciągu kilku dni zabito około 100 tys. psów.

Przypadkiem ocalało w całym mieście 30.



▲ Dziecko osłania swego przyjaciela przed ludźmi, którzy przyszli go zabić.

◀ W klatce izolowana kobieta dotknięta wścieklizną.



Wydawnictwo Literatury Religijnej posiada jeszcze pewną ilość „KALENDARZA KATOLICKIEGO“ na rok 1961. Zamówienia kierować na adres: Wydawnictwo Literatury Religijnej, Warszawa, ul. Wilcza 31.